

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الآسمنشراق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

KWARTALNIK

2(82)

1972

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Stanisław Kałużyński, <i>Władysław Kotwicz (na stulecie urodzin)</i>	103
Zbigniew Dobosiewicz, <i>Sily społeczno-polityczne współczesnej Algerii</i>	115
Tadeusz Żbikowski, <i>Przeobrażenia w szkolnictwie ChRL w ostatnich latach</i>	125

UTWORY LITERACKIE

Talip Apaydin, <i>Sprzedawcy syropu winogronowego</i> (z tureckiego przełożył Tadeusz Majda)	137
Mahmud Darwiz, <i>Wiersze</i> (z arabskiego przełożyli Samir Shoukr i Aleksandra Witkowska)	143
Szahen Tatikian, <i>Jeden jedyny strzał</i> (z ormiańskiego przełożył Bohdan Gębarski)	147

MATERIAŁY I SPRAWOZDANIA

Władysław Kotwicz, <i>Jeszcze raz w sprawie Ossendowskiego</i>	153
Andrzej Nowak, <i>Próba odnowienia formy poetyckiej „tanka”</i>	163
Jerzy Tulisow, <i>XIV Sesja Stałej Międzynarodowej Konferencji Altaistycznej XXI Zjazd Orientalistów Polskich</i>	168
	169

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

S. Mikulicz, <i>Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej</i> (Jan Reychman)	173
Andrzej Braun, <i>Conrad — dotknięcie Wschodu</i> (Jan Kieniewicz)	174
Witold Michałowski, <i>Wyprawa do Pięciu Bogów</i> (Stanisław Kałużyński)	175
<i>Polityka zagraniczna państw afrykańskich</i> (Włodzimierz KostECKI)	177
Adrian Hastings, <i>Kościół i misje w Afryce</i> (Stanisław Piłaszewicz)	178
C. A. Плетнева, <i>От кочевий к городам</i> (Teresa Nagrodzka-Majchrzyk)	180
William S-Y. Wang, <i>Anatole Lyovin, Cliboc, Chinese Linguistics Bibliography on Computer</i> (Mieczysław J. Künstler)	181
Л. С. Васильев, <i>Культы, религии, традиции в Китае</i> (Mieczysław J. Künstler)	182
<i>Языки юго-восточной Азии, вопросы морфологии, фонетики и фонологии</i> (Mieczysław J. Künstler)	184
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE	187
Z CZASOPISM	191

KRONIKA

Z ruchu naukowego na polu orientalistyki	
<i>Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów</i>	201
<i>Wizyty zagranicznych uczonych w Polsce</i>	201
<i>Kronika naukowa</i>	201

TALIP APAYDIN

SPRZEDAWCY SYROPU WINOGRONOWEGO

Talip Apaydin należy do grupy pisarzy związanych silnie z tematyką wiejską. W swych powieściach i opowiadaniach przedstawia głównie życie współczesnej wsi tureckiej, problem chłopów pozbawionych ziemi, ich migrację do miast i przechodzenie do innych zawodów. Urodził się w 1926 r. (wieś Ömerler). Ukończył średni i wyższy Instytut Wiejski. Pisarstwem zajmuje się od 1945 r. Wydał kilka powieści: *Bozkırda Günler* (*Dni na stepie*), *Susuzluk* (*Susza*), *Sarı Traktör* (*Żółty traktor*), *Yarbükü* (*Porośnięty jar*), *Emmioğlu*, oraz wiele nowel. Pisze także wiersze. Jest pisarzem bardzo lubianym w Turcji.

T. M.



Siedzący naprzeciw mnie człowiek z krótko przystrzyżoną bródką zawahał się nieco, jakby nie zrozumiał mego pytania. Potem pokiwał głową i powiedział:

— Oczywiście, bogaci. Bardzo bogaci. Dwaj bracia. Apartamenty, sklep, każdy dwa domy, samochód... Mają wszystko.

Popatrzyłem na dom od dołu do góry.

— Ile mieszkań ma ta kamienica?

— Skąd mam wiedzieć! Dziesięć, może piętnaście. Każde wynajmują po 500 lir.

— Boże!

— I co jeszcze? Przede wszystkim ten skład. Do samego wieczoru ruch tam jak w ulu. Handlują wszystkim. Zaopatrują się tutaj wszystkie wiejskie sklepy. Nie wiem

* Tytuł oryginału: *Pekmezçiler*.

dokładnie, ale ludzie mówią, że skład przynosi w ciągu miesiąca od 50 do 60 tysięcy lir.

— Nie mów!

— A co? Byłeś tam? Widziałeś? Sprzedają wszystko, od igieł, lusterek, grzebieni do kołder i materacy. Codziennie przywozi się towar ciężarówkami i wozami. Czasami nie wjeżdżają nawet do środka, tylko rozładowują je przed bramą.

— Widzę, tak. Dobry interes.

Ściszył nieco głos.

— Mówią: „Jesteśmy pielgrzymami i mołłami”, a oszukują naród. Jak tak można! Ci dwaj nie wywyższają się nad innymi, tylko stale odmawiają modlitwy. No tak... — pokiwał głową.

— My wiemy co to za jedni.

Milczał czas jakiś jakby zapatrzony w dal. Uśmiechnął się lekko. Nagle ktoś krzyknął „Prrr...” i zatrzymał konie, ale z powodu burzy nie można było niczego dostrzec.

— Chodź Ali, wsiadaj. Co się stało?

Mężczyzna ze szczelnie owiniętą twarzą z trudem wdrapał się na wóz. Nikt nic nie mówił. Z zimna dzwoniłi zębami.

— Skąd przybywasz?

— Z Zile. Razem z Hüsejinem pojechaliśmy do Zile. Kupiliśmy trochę syropu winogronowego. Hüsejin na mułach rozwiezie go po wioskach. Będzie po trochu sprzedawał.

— Czy to bezpiecznie tak samemu wyruszać w drogę? Chyba porządnie zmarzłeś. Uważaj na ziąb!

— Nie przypuszczałem, że tak będzie. Pogoda popsuka się nagle.

— Popsuka się, niestety. Weź ten worek i okryj sobie plecy.

Ali zarzucił pusty worek na plecy, końskimi torbami okrył sobie kolana. Pochylił się do przodu. Zamieć śnieżna przysłoniła niebo i ziemię. Podskakując po polnej drodze wóz posuwał się naprzód.

Przed składem stanął nowiuteński samochód o bardzo wydłużonej linii, koloru zielonkawego. Wsiadł z niego Hadży Ali. Był to mężczyzna o czerwonej twarzy, ostrzyżony na jeża. Uderzył z trzaskiem drzwiczkami samochodu i zamknął je miedzianym kluczykiem. Następnie wszedł do składu. W szybach samochodu widać było dach kawiarni, w której siedzieliśmy.

— Właśnie — powiedział mój rozmówca — byli dobrymi kupcami, sprzedawali syrop winogronowy po wsiach, a teraz stali się milionerami.

— No dobrze, ale czy sprzedają tylko syrop?

Mężczyzna o twarzy pełnej plam zaśmiał się i powiedział:

— Panie, czy można stać się milionerem sprzedając syrop winogronowy?! Pan też wierzy w takie rzeczy?

— To wobec tego, w jaki sposób?

W ciemności przesunęły się w kierunku stodoły dwa cienie. Mężczyźni z wielką wprawą rozgrzebali słomę i wyciągnęli jakieś okrągłe przedmioty zawinięte w płótno. Jedne były wielkości pięści, inne główek kapusty. Mieli bardzo zwinne ręce. Widać

było, że wiele razy wykonywali tę czynność. „Towar” zebrany w ciągu lata po wsiach przetapiali następnie i dzielili na części. Napelniali nim małe garnuszki i dobrze je uszczelniali. Kilka małych garnuszków kładli do jednego dużego garnka i zamykali pokrywami. Z boku na niektórych garnkach stawiali małe znaczki. Te właśnie garnki miały być umieszczone na spodzie wozu.

— Na Boga, żebyśmy się tylko nie pomylili — powiedział jeden z nich. — Najpierw załadujemy te ze znakami.

— Dobrze — odrzekł drugi.

Czekała ich długa podróż. Wyruszyli sprzedawać syrop winogronowy. Nie było ich prawie przez miesiąc. Gdzie i co robili — nikt tego dokładnie nie wiedział. Popatrzyłem na ich dom. Był to czteropiętrowy, nowoczesny budynek pokryty zielonymi kafkami, z szerokimi oknami. Cały parter przeznaczony był na skład. Czerwonymi literami wypisano „Handel Syropem Winogronowym”, a ja przeczytałem, jakby było „Handel Opium”. Uśmiechnąłem się sam do siebie.

— Nie tylko to. Kilka razy odbywali „pielgrzymki”. Jednego roku szedł jeden, następnego drugi. Ale cel mieli zupełnie inny.

— Jaki?

— Przywozili opium.

— Jak to?

— Oni wyspecjalizowali się w tym, panie. Wszędzie mają swoich ludzi. Dają łapówki, przywożą prezenty. Potrafią ułożyć swoje sprawy. Ale już porzucili ten handel. Niebezpieczna praca, bądź co bądź. Dość się już wzbogacili. Nie potrzebują więcej. Pieniądze robią pieniądze. Jasne, nieprawdaż? Same się mnożą. Poza tym dzieci im urosły. Synowie, zięciowie... W składzie praca jak w ulu. Nie wchodził pan do środka, nie widział pan? Nie nadążają inkasować pieniędzy.

Wszedłem. Od podłogi aż do sufitu półki nabite towarem. Klienci z miasta i ze wsi czekają w kolejce. Ośmiu czy może nawet dziewięciu subiektów mierzyło, krajało, ważyło, liczyło. Pracowali bardzo szybko. Na uboczu Hadży Ali Efendi odmawiał właśnie modlitwę. Na głowie miał czarny beret. Przed nim rozłożona była mata służąca jako dywanik do modlitwy. Spojrzał na mnie z ukosa, szybciotko skończył modlitwę i odezwał się:

— Słucham pana, co pan sobie życzy?

— Nic właściwie. Chciałem kupić trochę gumy.

— Chętnie służymy. Synu, obsłuż pana! Ile ma być, proszę pana?

— Starczy metr.

On sam podszedł do kasy. Stał tam stary, masywny stół. Był na nim okropny bałagan. Zeszyty, papiery ze starymi rachunkami, jakieś faktury, pudełka aspiryny, pęki skarpet i Bóg jeden wie co jeszcze.

Wziąłem gumę i powiedziałem, że chcę zapłacić.

— Proszę usiąść — powiedział. — Na jedną kawę. Pan, zdaje się, jest tu nowy?

— Tak — odrzekłem. — Przyjechałem na wycieczkę.

— Wspaniale! Skąd pan przybywa?

Powiedziałem mu skąd.

— Aaa, znam tamte strony. Jak się miewa Enis Bej? Proszę przekazać mu pozdrowienia ode mnie.

— Dobrze — powiedziałem. Enis Bej był burmistrzem, dlatego też wiele spraw da się wytłumaczyć. A więc znali się! Może nawet współpracowali? Wciąż spoglądałem na niego; liczył i przyjmował pieniądze. Jego krótko ostrzyżone włosy były już dobrze siwe. Miał taki dziwny tik, stale otwierał i zamykał jedno oko.

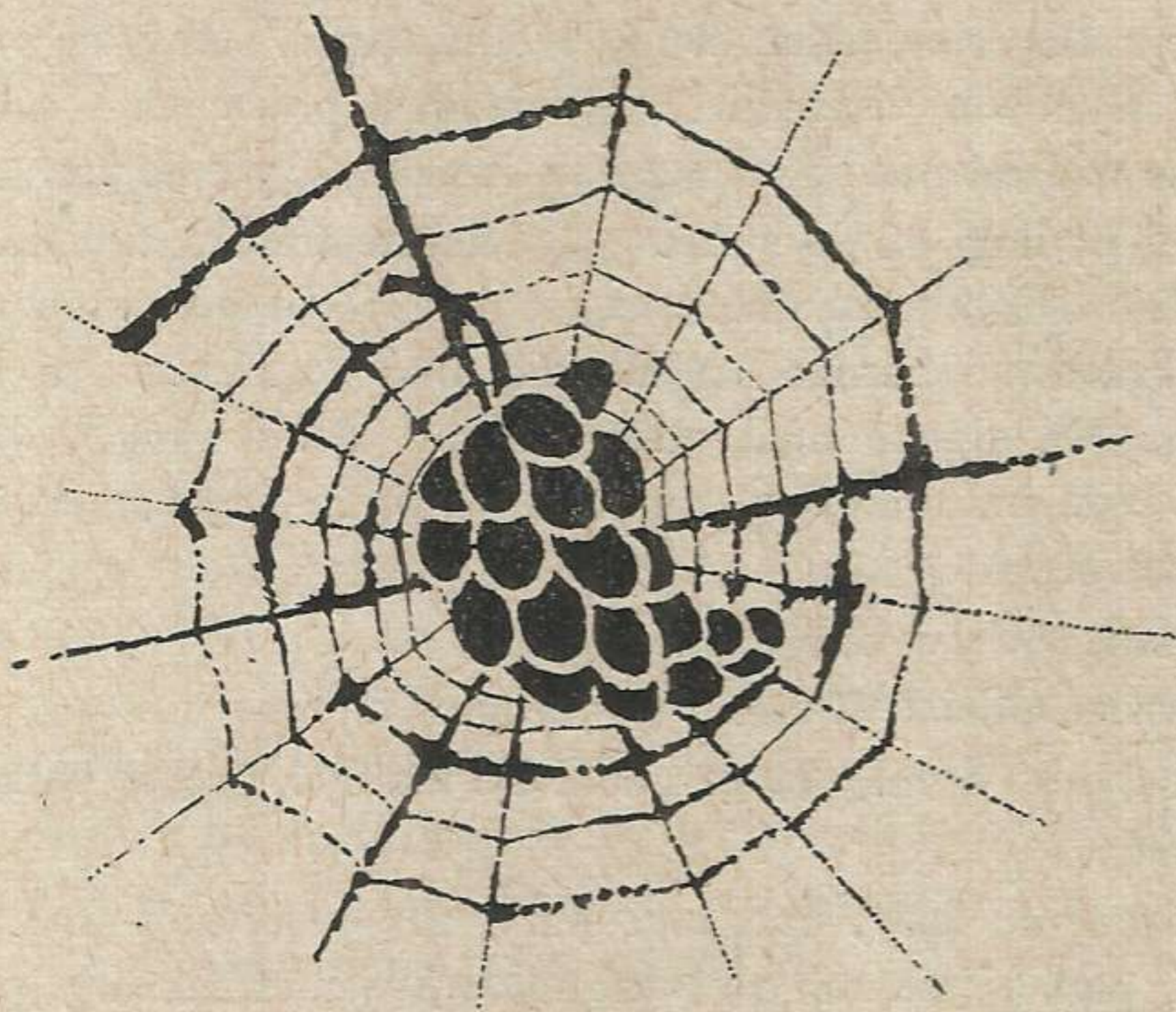
— Interes prosperuje, oby nie uroczyć! — rzekłem.

— Dziękuję, dobrze. Z pomocą Allaha. Jesteśmy hurtownikami. Zarabiamy na obrocie, żyjemy z dochodów. Dochód mamy właściwie mały. Proszę pana, nasz Prorok uczył: „w rzemiośle najważniejszą rzeczą jest czysty cel i siła wiary”. Drogi panie, pan przecież dobrze się zna na różnych sprawach. Doprawdy, tak można wszystko zrobić, że nikt niczego nie zauważy. Zrozumiał pan? Na przykład ten dzbanek wiozę, niby że jest miedziany. Wystarczy tylko zdjąć cienką warstwę i już! Włożyłem też w zelówki. Proszę popatrzeć, niczego nie widać.

— A jeżeli skradną buty w czasie odmawiania modlitwy?

— Niecee, czy ja w ogóle je wystawiam? Czyż jestem szalony? Gdy wchodzę do meczetu, to wsadzam je za pas. A wieczorem, gdy się kładę spać, to pod poduszkę. Taak, liczymy na łut szczęścia... W kraju nie ma moralności, mój panie. Niech pan nie szuka moralności ani u kupujących, ani u sprzedających, ani też u ludzi pracy. Niechaj nam Allah wszystko wynagrodzi!

— Amen — odrzekłem.



— Panie urzędniku, no, no! Proszę! Drobiazg, dla małżonki pańskiej. Proszę wybaczyć, nikogo nie ma. Proszę zamknąć szybko oczy! Cóż robić! Takie jest życie.

— Tak nie można. Przede wszystkim obowiązek, sumienie...

— Panie urzędniku, błagam, niech pan nie odmawia. Pokornie błagam pana! Proszę wziąć to. Ja siebie poświęcę. Mam rodzinę, niech pan nie niszczy mnie. Tamto

już skończone. Jeszcze ta jedna pokuta... Mój panie, sąd powinien postępować surowo, powinien wymierzać ciężkie kary zgodnie z prawem. I powinien ścinać głowy przemytnikom i spekulantom. Urzędnik musi być uczciwy, kupiec także! Powinno się odróżniać ludzi pracujących rzetelnie od różnych kłamców i krętaczy.

— Tak — powiedziałem — tak, słusznie... — i opuściłem skład.

Z TURECKIEGO PRZEŁOŻYL
TADEUSZ MAJDA

ISHIKAWA TAKUBOKU

ZE ZBIORU „GARŚĆ PIASKU”

Ponad sto razy
Napisalem na piasku
heroglif „wielki”
I wrociłem do domu,
porzuciwszy myśl o śmierci.

Taką mieć pracę,
Żeby ją wykonywać
z całą ochotą!
I chciałbym ją zakończyć,
a potem choćby umrzeć.

Jakże przyjemne
staje się zmęczenie!
Takie zmęczenie
po wykonanej pracy,
Gdy tchu nie można złapać.

Chociaż pracuję,
Chociaż ciężko pracuję,
życie me jeszcze
nie stało się łatwiejsze.
Uważnie oglądam ręce.

Z japońskiego przełożył
Andrzej Nowak



MAHMUD DARWISZ

WIERSZE

Mahmud Darwisz urodził się w Palestynie w 1942 r. w wiosce Al-Barwa leżącej obecnie na terenach okupowanych przez Izrael. W czasie pierwszej wojny izraelsko-arabskiej w 1948 r. zostaje wygnany przez okupanta z rodzinnego kraju. Po kilkunastu latach nielegalnie przekracza granicę. Pozostaje w ojczyźnie jako uciekinier poszukiwany przez władze izraelskie. Pierwsze jego utwory poetyckie ukazywały się na łamach arabskich czasopism literackich w Izraelu. Zadebiutował tomikiem *Ptaki bez skrzydeł* w 1960 r. Następne tomiki przynosiły mu sławę. Obecnie jest uważany za jednego z najwybitniejszych reprezentantów poezji walczącej Palestyny. W roku 1971 ukazało się w Bejrucie zbiorowe wydanie dzieł Mahmuda Darwisza obejmujące jego cały dotychczasowy dorobek poetycki (*Diwan Mahmud Darwisz*, Dar al-'Auda — Bajrut).

Zajmuje się również publicystyką drukując szereg artykułów poświęconych arabskiej walce wyzwolenczej w Palestynie oraz problemom z zakresu twórczości poetyckiej. Jego studia ukazały się w książce pt. *Kilka słów o ojczyźnie*.

A. W.

WYZWANIE

Zakujcie mnie w kajdany
zabierzcie moje zeszyty
moje papierosy
Połóżcie ziemię na moich ustach
wiersze są krwią serca
solą chleba
łzą oka
pisane paznokciami kamieniem i nożem
I będę o tym mówił
w izbie aresztu
w łaźni
w oborze

pod batem
w kajdanach
w obręczach łańcucha
Milion wróbli na gałęzi mojego serca
tworzy walczący rytm.

(Z dywanu *Ukochany z ojczyzny*, Hajfa 1966)

PIEŚŃ JEŃCA

Powiewające chusty miłości mojej, pokój wam!
Mówicie więcej, niż wypowie gruchanie gołębi.
Więcej niż łza za powieką, która śpi
wśród pierzchających marzeń.
Otwarte okna miłości mojej — przed wami
przechodzi miasto weselem tyranów, żałobną elegią,
pieśnią smutnej matki.
Za firankami są nasze księżycy —
i porzucone odpadki.
Zamknięta jest moja cela.
Szkłanka mojego dzieciństwa już zapleśniała
pokarmem starości.
Wypiliśmy, wypiliśmy bezwiednie pragnienie warg.
Myślałem: boimy się o nasze usta,
boimy się rosy i rdzy.
Siedzimy niespokojni, jak czas,
a rzeka krwi jest między mną i tobą.
O! Ukochane oczy, zawieszane
na linie światła, które się łamie w źrenicach.
Czy wiecie, że jestem jeńcem moich skrzydeł?
Moje dwa skrzydła — to wolność i ty.
Śpią obie na obcych brzegach.
Kocham was, jak dwoje bliźniąt.

(Z dywanu *Ukochany z ojczyzny*, Hajfa 1966)



KRZYK ZZA GROBU

Ja. Śmierć moja ma już osiem lat
a wiek śmierci ojca zrównany jest z moim.
Wszystkich żyjących wzywamy:
naszych bliskich i tych,
którzy chcą dorosnąć
na ziemi, nie pod nią.
Niech sieją i zbierają z pól
dojrzewającą pszenicę
na chleb dla swoich domów,
na radość i życie.
Wzywamy: nie śpijcie,
żeby trwać na ziemi.
Bo tu słońcem jest tylko glina i robaki
a nasze lata są latami śmierci.
Ja. Śmierć moja ma już osiem lat
i wiek śmierci ojca zrównany jest z moim.

Mówiliśmy wam, że nie chcemy
kwiatów i wody na grobach.
Niczego co żywe, prócz —
kłębowiska węży i robaków.
Mówiliśmy wam, że nie chcemy
wszystkich żałobnych strojów.
Groby są przepelnione czernią.
Mówiliśmy wam, że nie chcemy
długich i smutnych elegii.
Tu jesteśmy. A powrót nasz
jest niemożliwy.

Mówiliśmy wam: śpiewajcie
dla naszej ziemi.
Gniew podtrzymujcie w sobie
opowiadając o nas
waszym synom.
Niech na chorągwiach morderców zostanie nasza krew —
znak drogi do przepaści.
Mówiliśmy wam: chrońcie
przed kulami tych, którzy żyją
i tych, którzy narodzą się jutro.
Źródło zła jest wciąż świeże.
Posypcie je kurzem.
Mieście się na bacności.

(Z dywanu *Pamiętnik palestyńskiej rany*, Bejrut 1969)

TĘSKNOTA DO ŚWIATŁA

Dlaczego ludzie mieliby się gorszyć
gdy idę z tobą w świetle dnia
i niosę twoją parasolkę.
Kiedy na rogu ulicy
zrywam pocałunek
z twoich ust.
Twoje oczy...
Teraz marzę, żeby zobaczyć twoje oczy
spokojnie otwarte, jak wtedy.
Ujrzyć w nich morze o wschodzie słońca.
Twoje wargi...
Marzę, żeby zobaczyć twoje wargi,
kiedy zbliżają się do moich
i ujrzyć promienie słońca w narodzinach ślubu.
Dlaczego noc się gniewa
kiedy zapalam dwie świece
i patrzę na twoją twarz w promieniach,
i widzę rzekę kości słoniowej
uwięzioną w marmurze dwóch łodzi.
I wtedy wracam jak dziecko do piersi.
Z głębi mojego żalu
wołam twoje oczy —
niech niosą wino światła do moich żył.

Dlaczego ludzie mieliby się gorszyć
kiedy na twoich dłoniach kładę głowę
i obejmuję cię.

(Z dywanu *Liście oliwki*, Hajfa 1964)

Z arabskiego przełożyli
Samir Shoukr i A. Witkowska

SZACHEN TATIKIAN

JEDEN JEDYNY STRZAŁ

Cztery wystrzały rozległy się prawie równocześnie.

Zając podskoczył, ale był tylko przestraszony. Podskoczył jeszcze raz i drugi, a potem prysnął.

Żołnierze gapili się za uciekającym.

A potem rozległ się wesoly, dźwięczny śmiech... Śmiał się jeden z tych żołnierzy, którzy nie strzelali. Oparł twarz o lufę karabinu i z zainteresowaniem przyglądał się strzelającym, a teraz nagle wybuchnął śmiechem.

Koledzy ze zdumieniem spojrzeli na niego, a potem również się roześmieli, ale natychmiast twarze ich spoważniały.

— Czekaj! — powiedział jeden ze strzelających z dystynkcjami frajtra. — Z czego ty się śmiałeś?

— Jak to z czego? Żeby zająca... jak ten słoń...



— Chwileczkę... — nie ustępował frajter, podchodząc do niego. — Jeżeli tak łatwo było trafić, to czemu nie strzelałeś?

— I z pewnością bym trafił — odpowiedział z przekonaniem wesolek. — Zając był jak słoń...

— Zaczekaj! — frajter zrobił jeszcze krok naprzód. — Zaczekaj chwilę!

Był to wielki, barczysty chłop i kiedy stanął obok tamtego, od razu rzuciła się w oczy karykaturalna wręcz różnica pomiędzy nimi: wesolek był dwukrotnie niższy od niego. A że olbrzym pełnił w tej chwili funkcje dowódcy, więc wydało mu się, że śmiech tego smarkacza może pomniejszyć jego autorytet. Mógł oczywiście dać mu dobrą naukę, ale uznał, że nie warto zawracać sobie głowy takim mikrusem.

— Nieładnie — powiedział wreszcie. — Sam nie strzelałeś, a śmiejesz się z kolegów. Jesteś jeszcze frajerem i nie znasz się na prawach koleżeństwa, bo bym ci zbił mordę — potem odwrócił się udobruchany, ale na wszelki wypadek spytał: — A dlaczego sam nie strzelałeś?

— Bo żałowałem zająca.

Żołnierze z ciekawością przysłuchujący się rozmowie, powściągliwie roześmieli się.

— Dowcipny facet...

— Bo pożałowałem zająca — powtórzył mikrus, dając tym do zrozumienia, że wcale nie żartuje.

Olbrzymi frajter stracił cierpliwość:

— Patrzcie na tego chwalipiętę!

— Bo na pewno bym trafił!

— A więc tak dobrze strzelasz?

— Na pewno bym trafił.

Olbrzym spojrział na kolegów i mrugnął na nich porozumiewawczo:

— Chcesz może strzelać o zakład?

— Ja nigdy nie chybiam — odpowiedział mały.

— Wiesz co — zniecierpliwiał się olbrzym. — Widziałem już wiele chwalipiętów, ale takiego jak ty spotygam po raz pierwszy. Może więc będziemy strzelać o zakład?

— Przecież musimy już iść — upomniał go jeden z żołnierzy.

— Nie — uparł się frajter. — Muszę go przecie nauczyć moresu. No to co, zakładamy się?

— O co?

— O ostatni przydział papierosów.

Podali sobie ręce.

Do pnia drzewa po drugiej stronie parowu przymocowano puszkę po konserwach. Każdy miał strzelać pięciokrotnie.

— Kto pierwszy?

— Wszystko mi jedno — wzruszył ramionami mały.

Jego pewność siebie wytrącała draba z równowagi.

— Zostaniesz bez papierosów, to zmięknie — mruknął ze złością i zaczął celować.

W parowie zabrzmiało z niewielkimi przerwami pięć wystrzałów.

Wszyscy, oprócz mikrusa, pobiegli do drzewa.

— Wierzę wam — powiedział.

— No, mały — krzyknął ktoś po obejrzeniu puszek — nie trać czasu i pożegnaj się z papierosami. I tak nie będziesz miał lepszego wyniku.

Do drzewa przymocowano nową puszkę.

— Chodzi tu nie tylko o dobre celowanie — stwierdził od niechcienia mikrus.

— Trzeba brać pod uwagę siłę wiatru, temperaturę powietrza i pamiętać, który raz kolejno się strzela. Bo po każdym strzale i karabin i ramię i ręka są już inne...

— Też mi gadka! — warknął olbrzym. — Znalazł się profesor! Nie czas na gadanie. Strzelaj! I tak już straciliśmy dość czasu.

— ...Ale odległość jest tu niewielka i można tamtych rzeczy nie brać pod uwagę. A i puszka przy tym jest wielka jak chałupa — mrucał sam do siebie i nie celując wypalił pięciokrotnie.

Wszyscy byli przekonani, że strzela w powietrze dla zabawy.

— Sprawdźcie! — powiedział. Potem wygodnie rozsiadł się na kamieniu i zapalił papierosa.

— To nie szkodzi, że papierosy są już moje — łaskawie powiedział drałgal, patrząc z góry na mikrusa. — Możesz się częstować... No, chłopcy — niecierpliwie krzyknął na kolegów, którzy z osłupieniem przyglądali się puszcze.

— Oddaj mu swoje papierosy! — odkrzyknął wreszcie jeden z nich. — Uczciwie na nie zasłużył. I ma prawo się chwalić.

Frajtrowi zdawało się z początku, że z niego dworują. Przecie ten czort strzelał nie celując. Ale z twarzy żołnierzy zorientował się wkrótce, że to wcale nie żarty. Wziął puszkę, pokręcił ją w rękach i bez słowa wręczył mikrusowi swoją paczkę.

— To nic nie szkodzi — stwierdził tamten, patrząc na olbrzyma prawie z sympatią. — Nie krępuj się, pal! Ja częstuję.

— Słuchaj! Toś ty naprawdę pożalował zająca? — spytał frajter z nutą niedowierzania w głosie.

— No pewnie...

— To po kiego diabła nauczyłeś się strzelać?

— Byłem sportowcem. Pierwszorzędnym sportowcem. Strzelanie to moja specjalność. Nawet występowałem w cyrku.

Żołnierze rozsiedli się w koło niego. Palili i słuchali.

— Potem powołano mnie do wojska... No i trafiłem tutaj.

Drałgal nagle wpadł w pasję.

— Ty... jak się tam nazywasz. Oddaj mi papierosy!

— No, przecie uczciwie wygrałem... — zaczął protestować mały.

— Wcale nie uczciwie! Jesteś zawodowcem. Patrzajcie go! Zająca żałuje, a koledze zabiera ostatnie papierosy. Oddawaj!

— Proszę — powiedział tamten oddając paczkę. — Ale to niesprawiedliwie.

— Niesprawiedliwie — przedrzeźniał go dryblas i podnosząc się wsunął papierosy do kieszeni. Zająca pożalował! Wstawać, chłopcy, czas odmaszerować.

Żołnierze ruszyli. Na końcu kolumny włókł się mikrus. Miał twarz zgnębioną i zdziwioną.

Nagle jeden z idących na przodzie zawołał:

— Patrzcie, chłopcy! Co to?

— Gdzie?

Kolumna zatrzymała się.

Przed nimi na brzegu parowu coś się poruszało — nie wiadomo człowiek czy zwierzę.

Frajter wyjął z torby lornetkę i przyłożył ją do oczu.

— Hm... — mruknął. — Żołnierz. I to nie nasz. Siedzi i coś robi...

Podał lornetkę innym i ci po kolei potwierdzili jego słowa.

Tylko mikrus nie brał w tym udziału: wciąż jeszcze czuł się pokrzywdzony.

— Trzeba żeby nas nie spostrzegł — powiedział frajter. — Ostrożnie!

Zrobił parę kroków i nagle stanął.

— Słuchaj! — zwrócił się do małego. — Czy ty stąd do niego trafisz?

Tamten milczał.

— Pytam ciebie. Trafisz?

— Czy trafię?

— Właśnie — powiedział drągał z naciskiem. — Chłopcy dajcie mu snajperską!

— Po co? — spytał mały.

— Jak to po co?

— Ale przecie mówiłeś, że mamy prześlizgnąć się niepostrzeżenie...

— A teraz zmieniam decyzję. Przypomniałem sobie, że pomiędzy nami jest strzelec wyborowy.

— Ale ja...

— Szeregowy, masz spełniać rozkaz! Albo zgodnie z prawem wojennym... Żebyś na przyszłość nie próbował żałować zająca.

Żołnierze znieruchomieli, czekając na koniec. Wiedzieli, że frajter nie żartuje i sprawa może skończyć się fatalnie. Mikrus również to zrozumiał, patrząc w pałające wściekłością oczy dowódcy.

— No to jazda! Pamiętaj, że jeżeli ten żołnierz pozostanie przy życiu, to natychmiast rozstrzelam ciebie, jako zdrajcę...

... Mały naprawdę żałował zająca. Nigdy dotąd nie strzelał do żadnej żywej istoty. Strzelanie było dla niego takim samym sportem jak dla innego piłka nożna. Teraz stał nieruchomo i myślał, że oto wysłana przez niego kula przedziurawi ludzką głowę i człowiek upadnie, brocząc krwią, a jego szeroko otwarte oczy z wyrzutem spojrzą w niebo.

— No! — groźnie ponaglił go olbrzym.

Mikrus powoli podszedł do drzewa, znalazł wygodne oparcie. Ale ręce mu drżały, nogi uginały się pod nim i chorobliwie chciało się ziewać.

— Jeżeli spudłujesz... — dodał frajter i nie skończył.

Na pewno spudłuje. Czyż można strzelać w takim stanie?

Znowu wyobraził sobie jak kula przebija człowiekowi głowę, jak ten pada, a jego zdziwione oczy z wyrzutem patrzą w niebo. I niewiadomo dlaczego zdawało mu się, że ten człowiek musi koniecznie mieć niebieskie oczy.

Znowu zachciało mu się ziewać, ale powstrzymał się w obawie, że zaraz dostanie torsji.

— No!

I w tej chwili, kiedy już był bliski omdlenia, wyobraził sobie nagle, że przed nim znajduje się nie żywy człowiek, a zwykły manekin. No oczywiście manekin! To nic nie szkodzi, że porusza się. Bo to ruchoma lalka. A kula zawsze przebijała tę część

lalki, która nazywa się głową. Był przecie nieprześcignionym mistrzem w strzelaniu właśnie do takich ruchomych figur.

Najpierw ustało drżenie nóg, potem minęło nerwowe ziewanie i ręce odzyskały prężność...

Ruchomy manekin...

W takiej odległości, a szczególnie przy strzelaniu do ruchomej lalki, trzeba brać pod uwagę temperaturę powietrza, siłę i kierunek wiatru oraz liczyć strzały, jeżeli oddaje się je jeden po drugim.

Sprawdził wskaźnik snajperskiego karabinu i wycelował.

Nie spieszył i celował powoli, wiedział bowiem, że frajter dotrzyma słowa. Ale najważniejsze było to, że przed nim znajdował się zwykły manekin, a jemu zawsze udawało się trafić go tam, gdzie miała być głowa.

*

Po wyjściu z wioski chłopiec od razu odnalazł to miejsce. Usiadł na samym brzegu strumienia spadającego z pionowej skały. Zdjął buty i skarpetki, wyprał je w zimnej wodzie i rozłożył na trawie. Silny wiatr i słońce szybko je wysuszą.

Włożył nogi do wody. Na palcach były odciski, które w marszu bardzo mu dokuczały.

Ból w palcach stopniowo mijał. Wyjął z kieszeni niewielki nóż. Szkoda tylko, że nie ostry.

Kiedys w cywilu nosił ciasne trzewiki i odgniółł sobie odciski. „Cóż z ciebie za mężczyzna” — mówiła matka. — „Wymocz nogi w gorącej wodzie i zetnij to świństwo. Czyżbyś się naprawdę aż tak bardzo tego bał?”

Wtedy istotnie bał się. A teraz oto myje nogi w zimnej wodzie i zamierza ścierać te odciski tępym nożem.

Jutro pójdzie na potańcówkę.

Dziewczyna tak mu właśnie powiedziała: „Przyjdiesz jutro na potańcówkę, to pomówimy...”

Już od tygodnia ich jednostka stoi w tej wsi i oto on po raz pierwszy myśli o dziewczynie. Dotąd zawsze unikał dziewcząt. Koledzy nazywali go nawet mnichem. A teraz...

— „Przyjdź jutro na potańcówkę, to pogadamy...” — obiecała i oto teraz on tu siedzi i obcina sobie odciski.

W marszu wolno kuleć — nikt i tak na ciebie nie spojrzy. Ale w tańcu ruchy muszą być potoczyste, lekkie, jak gdyby nogi wcale nie dotykały ziemi. W czasie tańca powie jej: „Kocham ciebie... kocham ciebie... kocham ciebie!” Bzdura! Jakby nie było innych tematów do rozmowy. Lepiej powie jej: „Wiesz, ja po raz pierwszy...”. Nie, znów nie tak! „Wiesz, chciałbym poznać ciebie na całe życie”. I opowie o matce.

Jeszcze dziś napisze mamie o tym, że... Nie, o dziewczynie chyba na razie nie trzeba pisać. Lepiej o tym, że ścierał wreszcie te swoje odciski. Można sobie wyobrazić jak się zdziwi: „Mój chłopiec już stał się mężczyzną”.

Myśląc tak żołnierz skończył z odciskami na jednej nodze. „To była w gruncie rzeczy bagatela” — uśmiechnął się z satysfakcją do samego siebie.

I nagle przypomniał sobie, że przed wojną nazywano go „mamusinym synkiem”. Teraz zdawało mu się już, że od dawna jest żołnierzem. Czy naprawdę od dawna? Zaledwie pół roku jak znajduje się w wojsku i dopiero od kilku miesięcy nie nazywają go „mamusinym synkiem”. Pół roku... To zastanawiające. Przez całe pozostałe życie nie widział tak wiele, jak w ciągu tych sześciu miesięcy...

Pozostało tylko ściąć ostatni odcisk. Zawahał się. Cóż to za dziwna rzecz ten czas! W najmniejszej jego części może zmieścić się tak wiele zdarzeń i przemian.

Ta myśl wydała mu się tak głęboka, że znów zdziwił się. „Zaczynam stawać się filozofem” — pomyślał.

Zaczął nabierać szacunku dla samego siebie. I chociaż w pobliżu nikogo nie było, przybrał dumną postawę i powiedział głośno:

— A widzicie jaki ze mnie mądry chłopak!...

To wszystko dlatego, że czuł się szczęśliwy. Dlatego, że jutro ma powiedzieć swojej dziewczynie wiele dobrego, dlatego, że tak łatwo ściął odciski, dlatego, że o tym wszystkim napisze matce i ucieszy ją. „Mój chłopiec wydorósł i stał się mężczyzną”...! I dlatego wreszcie, że przyszły mu do głowy takie mądre myśli o czasie i o życiu.

Potem nachylił się, żeby ściąć ostatni odcisk.

W tej chwili zapomniał o tym, że czas kryje w sobie bezmiar możliwości i że w ciągu jednej sekundy mogą zajść najstraszliwsze zmiany.



... A gdyby nawet o tym nie zapomniał, to na pewno nie przyszłoby mu do głowy, że przed paroma sekundami przestano go uważać za żywą istotę i uznano za ruchomy manekin.

Od paru sekund był on już tylko tarczą strzelniczą, lalką poruszającą się w odległości jakichś ośmiuset metrów... Przy takiej odległości bierze się już pod uwagę temperaturę powietrza, siłę i kierunek wiatru, a nawet należy pamiętać ile razy się już strzeliło.

*

I wtedy w wąwodzie padł strzał.
Jeden jedyny strzał...

Z ormiańskiego przełożył
Bohdan Gebarshi